Taniec w ogniu, tom 4

Taniec w ogniu

Tom 4

pióra

Waughina Jartha



Kipa złożona z osiemnastu Bosmerów i jednego cyrodiiliańskiego byłego urzędnika imperialnej komisji budowlanej brnęła przez dżunglę, na zachód od rzeki Xylo, ku starożytnej wiosce Vindisi. Dla Decumusa Scottiego dżungla była obcym i wrogim terenem. Olbrzymie, przeżarte przez robactwo drzewa zdawały się szponami wyciągniętymi, by zatrzymać wędrowców w miejscu. W ich cieniu nawet o poranku panowały nieprzeniknione ciemności. Co gorsza, Scotti nie był osamotniony w swoim lęku. Jego towarzysze podróży, tubylcy, którzy przeżyli ataki Khajiitów na wioski Grenos i Athay, mieli strach wypisany na twarzach.

W dżungli żyło coś świadomego - coś oprócz szalonych, lecz życzliwych miejscowych duchów. Scotti co i rusz dostrzegał kątem oka cienie śledzących uchodźców Khajiitów, skaczące po drzewach. Gdy się obracał, by na nich spojrzeć, ich smukłe sylwetki znikały w mroku, jakby nigdy ich tam nie było. Ale Scotti wiedział, że ich widział. Bosmerowie też ich widzieli i przyśpieszali kroku.

Po osiemnastu godzinach wędrowcy, pokąsani do żywego mięsa przez owady, podrapani tysiącami cierni, dotarli do skraju polany w dolinie. Była noc, lecz przywitał ich rząd zapalonych pochodni, oświetlających skórzane namioty i rozrzucone tu i ówdzie głazy osady Vindisi. Na drugim końcu doliny pochodnie otaczały święte miejsce, powykręcany splot drzew skupionych ciasno na kształt świątyni. Bosmerowie bez słowa podążyli w ich kierunku. Scotti szedł za nimi. Gdy dotarli do budowli z żywych drzew, do wnętrza której prowadziło tylko jedno szerokie wejście, Scotti ujrzał dobywające się z niej słabe błękitne światło. Z wnętrza dobiegał niski, dźwięczny pomruk setki głosów. Bosmerka, za którą szedł, wyciągnęła dłoń, każąc mu się zatrzymać.

- Nie zrozumiesz, ale wstępu nie ma tu nikt obcy, nawet przyjaciel - powiedziała. - To święte miejsce.

Scotti skinął głową i patrzył, jak uchodźcy powoli, z opuszczonymi głowami wstępują do świątyni. Ich głosy przyłączyły się do pozostałych. Gdy ostatni leśny elf znalazł się w środku, Scotti skierował się z powrotem w kierunku wioski. Ktoś tutaj musiał mieć coś do jedzenia. Za przewodnika posłużyły mu nitka dymu i słaba woń pieczonej dziczyzny.

Pięcioro Cyrodiilian, dwóch Bretonów i Nord siedziało wokół ogniska z rozżarzonymi do białości kamieniami, odrywając dymiące pasy mięsa z ciała wielkiego jelenia. Gdy Scotti się zbliżył, wstali - z wyjątkiem Norda, bez reszty pochłoniętego swoją porcją.

- Dobry wieczór, przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mógłbym liczyć na mały poczęstunek? Obawiam się, że jestem dość wygłodzony. Cały dzień maszerowałem z grupą uchodźców z Grenos i Athay.

Poprosili go, by usiadł, i przedstawili się.

- Czyli znowu wojna - rzekł Scotti przyjaznym tonem.

- I dobrze im tak, mięczakom i nierobom - odparł Nord między jednym kęsem a drugim. - W życiu nie widziałem takiej leniwej kultury. Teraz Khajiitowie uderzają w nich na lądzie, a wysokie elfy na morzu. Jeśli jakakolwiek prowincja zasługuje na odrobinę kłopotów, to jest to przeklęta Puszcza Valen.

- Nie rozumiem, czemu aż tak cię irytują - zaśmiał się jeden z Bretonów.

- To sami złodzieje. Tacy się już rodzą. Są jeszcze gorsi od Khajiitów, bo są tak cholernie cierpliwi w swojej agresji. - Nord wypluł grudę tłuszczu, która zasyczała w zetknięciu z gorącymi kamieniami. - Pozwalają tym swoim lasom rozrastać się na terytoria, które do nich nie należą, powoli infiltrując sąsiadów, i nie mają bladego pojęcia, dlaczego Elsweyr reaguje na to przemocą. Nic, tylko łotry i bandyci.

- Co pan tutaj robi? - spytał Scotti.

- Jestem dyplomatą z dworu Jehenny - mruknął pod nosem Nord, wracając do swego posiłku.

- A pan co tutaj robi? - spytał jeden z Cyrodiilian.

- Pracuję dla komisji budowlanej lorda Atriusa w Cesarskim Mieście - odparł Scotti. - Jeden z moich byłych kolegów zaproponował mi, bym wybrał się do Puszczy Valen. Pisał, że wojna się skończyła i moja firma mogłaby wiele zarobić na kontraktach na odbudowę. Po drodze spotykała mnie jedna katastrofa po drugiej, straciłem wszystkie pieniądze, jestem w samym środku wybuchającej na nowo wojny i nie mogę znaleźć mojego byłego współpracownika.

- Byłego współpracownika - mruknął inny Cyrodiilianin, który przedstawił się wcześniej jako Reglius. - Nie nazywał się on przypadkiem Liodes Jurus, prawda?

- Zna go pan?

- Zwabił mnie do Puszczy Valen w niemal dokładnie takich samych okolicznościach. - Reglius uśmiechnął się posępnie. - Pracowałem dla konkurenta pańskiego pracodawcy, ekipy lorda Vanecha, gdzie pracował też kiedyś Liodes Jurus. Napisał do mnie, prosząc, bym reprezentował cesarską komisję budowlaną i zdobył kontrakty na powojenną odbudowę. Zostałem dopiero co zwolniony i wydawało mi się, że jeśli zdobędę kilka nowych zleceń, otrzymam swoją posadę z powrotem. Spotkałem się z Jurusem w Athay. Mówił, że zorganizuje nam bardzo lukratywne spotkanie z Silvenarami.

Scotti był w szoku: - Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Nie jestem teologiem. - Reglius wzruszył ramionami. - Nie żyje. Kiedy Khajiitowie zaatakowali Athay, zaczęli podpalać przystań, kiedy Jurus wciąż jeszcze szykował swoją łódź. Czy też raczej moją łódź, bo nabył ją za moje złoto. Nim zorientowaliśmy się nawet, że należy uciekać, wszystko przy rzece zmieniło się w popiół. Khajiitowie może i są zwierzętami, ale potrafią zorganizować atak.

- Chyba szli za nami przez dżunglę do Vindisi - powiedział nerwowo Scotti. - Grupa jakichś istot bez wątpienia skakała po drzewach nad nami.

- To na pewno któryś z małpoludów - prychnął Nord. - Nie ma się czym przejmować.

- Gdy po raz pierwszy przybyliśmy do Vindisi i Bosmerowie weszli do tego drzewa, byli wściekli. Szeptali coś między sobą o wysłaniu przeciw swym wrogom starożytnej grozy. - Breton wzdrygnął się na to wspomnienie. - Od tej pory wciąż tam siedzą, już

dobre półtora dnia. Jeśli chcecie się czegoś bać, lepiej patrzcie w tamtą stronę.

Drugi Breton, wysłannik gildii magów Daggerfall, spoglądał w ciemności, gdy jego towarzysz mówił. - Być może. Ale coś jest też w dżungli, na samym skraju wioski.

- Może kolejni osadnicy? - spytał Scotti, starając się nie zdradzić głosem zaniepokojenia.

- Nie, chyba że teraz idą po drzewach - szepnął czarodziej. Nord i jeden z Cyrodiilian złapali długi płat mokrej skóry i przeciągnęli nim po ognisku, gasząc je bez najmniejszego nawet syku. Teraz Scotti był w stanie dostrzec intruzów. Światło pochodni odbijało się w ich żółtych, migdałowych oczach i w długich ostrzach ich broni. Zamarł ze strachu, modląc się w duchu, by nie być równie dobrze widocznym dla nich.

Coś stuknęło go w tył głowy. Jęknął.

Z góry dobiegł syk Regliusa: - Na miłość Mary, bądźże cicho i wespnij się tutaj.

Scotti schwycił w obie ręce podwójną lianę, która zwieszała się z wysokiego drzewa na skraju zgaszonego ogniska. Wspiął się na górę tak szybko, jak tylko potrafił, wstrzymując oddech, by nie wydać z siebie nawet najmniejszego odgłosu zmęczenia. Na szczycie liany, wysoko nad wioską, znajdowało się opuszczone gniazdo jakiegoś wielkiego ptaka, spoczywające na gałęzi w kształcie trójzębu. Gdy tylko Scotti wciągnął się na miękką, pachnącą wyściółkę, Reglius wciągnął lianę. Nie było tam nikogo innego, a gdy Scotti spojrzał w dół, nie ujrzał tam ani żywej duszy. To znaczy oprócz Khajiitów, powoli idących w stronę blasku dobywającego się ze świątynnego drzewa.

- Dziękuję - szepnął Scotti, głęboko wzruszony, że pomógł mu konkurent. Odwrócił się plecami do wioski i zobaczył, że górne gałęzie drzewa ocierały się o omszałą skalną ścianę, która otaczała dolinę. - Jak u ciebie ze wspinaczką?

- Zwariowałeś - odszepnął Reglius. - Powinniśmy tu zostać i poczekać, aż odejdą.

- Jeśli spalą Vindisi, tak jak spalili Athay i Grenos, zginiemy i tak, tutaj czy na ziemi. - Scotti zaczął powoli i ostrożnie wdrapywać się po pniu drzewa, sprawdzając każdą gałąź. - Widzisz, co robią?

- Nie bardzo. - Reglius wpatrzył się w mrok na dole. - Stoją przed świątynią. Mają też chyba... wygląda to na długie liny, ciągnące się za nimi, aż do wyjścia z doliny.

Scotti wpełzł na najmocniejszą gałąź wystającą z drzewa w kierunku mokrej skały urwiska. Skok wcale nie był trudny. Było tak blisko, że Scotti czuł wilgoć i chłód kamienia. Ale tak czy inaczej trzeba było skoczyć, a w całej swojej karierze urzędnika nigdy jeszcze nie skakał z drzewa na gołą skalną ścianę, trzydzieści metrów nad ziemią. Przywołał na myśl obraz cieni ścigających go po drzewach przez dżunglę. Jak uginały nogi przed skokiem, jak wyrzucały ramiona naprzód płynnym ruchem, by schwycić gałąź. Skoczył.

Jego dłonie szukały przez moment skały, ale bardziej dostępne okazały się długie, grube płaty zwieszającego się z góry mchu. Złapał się mocno, ale kiedy usiłował zaprzeć się stopami o skałę, jego nogi pośliznęły się i uciekły do góry. Przez kilka sekund wisiał głową w dół, nim podciągnął się do bardziej konwencjonalnej pozycji. Ze skalnej ściany wystawała wąziutka półka, na której mógł stanąć i wreszcie wypuścić wstrzymywany oddech.

- Reglius. Reglius. Reglius. - Scotti nie śmiał zawołać głośno. Po minucie gałęzie zatrzęsły się i pojawił się pracownik lorda Vanecha. Wpierw torba, potem głowa, potem reszta. Scotti zaczął coś szeptać, ale Reglius potrząsnął gwałtownie głową i wskazał palcem w dół. Jeden z Khajiitów stał u podstawy drzewa, oglądając resztki ogniska.

Reglius niezdarnie spróbował złapać równowagę na gałęzi, ale choć była ona mocna, było to niezwykle trudne z jedną wolną ręką. Scotti złożył dłonie w koszyk, a potem wskazał palcem torbę. Reglius wyraźnie niechętnie się z nią rozstawał, ale dał za wygraną i rzucił ją Scottiemu.

W torbie była mała, niemal niewidzialna dziurka, i kiedy Scotti ją złapał, wypadła z niej pojedyncza złota moneta. Zabrzęczała, obijając się o skałę - wysoki, delikatny dźwięk, który zdawał się Scottiemu najgłośniejszym alarmem, jaki w życiu słyszał.

Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Cathay-Raht u podstawy drzewa spojrzał w górę i zawył głośno. Zawtórowali mu pozostali Khajiitowie. Kot przykucnął i jednym susem wskoczył na niższe gałęzie. Reglius zobaczył go pod sobą, wspinającego się z niewiarygodną zręcznością, i

spanikował. Jeszcze zanim skoczył, Scotti wiedział już, że Reglius spadnie. Poleciał w dół z krzykiem, łamiąc kark przy uderzeniu o ziemię.

Błysk białego płomienia rozświetlił każdą szczelinę świątyni i jęk bosmerskiej modlitwy zmienił się w coś koszmarnego i bluźnierczego. Wspinający się Cathay-Raht zatrzymał się i spojrzał w tamtą stronę.

„Reirgo - szepnął. - Dziki Łów".

Było tak, jakby coś wyrwało szczelinę w materii rzeczywistości. Rzeka koszmarnych bestii, mackowatych ropuch, opancerzonych i szponiastych insektów, oślizgłych węży, niematerialnych istot o obliczach bogów wylała się z wielkiego drzewa, zaślepiona wściekłością. Khajiitowie przed świątynią zostali rozerwani na strzępy. Wszystkie inne koty zaczęły uciekać do dżungli, ale jednocześnie ciągnąć za niesione przez siebie liny. Po kilku sekundach cała wioska Vindisi bulgotała od obłąkanych oblicz Dzikiego Łowu.

Ponad bełkotem, zawodzeniem i wyciem hordy Scotti słyszał krzyki schowanych gdzieś Cyrodiilian, pożeranych przez bestie. Dopadły one też Norda i obu Bretonów. Mag rzucił zaklęcie niewidzialności, ale rój potworów nie kierował się wzrokiem. Drzewo, na którym siedział Cathay-Raht zaczęło drżeć i kołysać się od wściekłego naporu ciał na dole. Scotti spojrzał w przerażone oczy Khajiita i wyciągnął do niego jeden ze zwojów mchu.

Twarz kota wyraziła służalczą wdzięczność; skoczył. Nie miał nawet czasu zmienić do końca wyrazu twarzy, gdy Scotti z powrotem odciągnął linę i patrzył, jak spada. Łów pożarł go do kości, nim uderzył o ziemię.

Skok Scottiego na kolejną skalną półkę był nieporównanie bardziej udany. Podciągnął się z niej na szczyt urwiska i mógł obserwować chaos, w który zmieniła się wioska Vindisi. Masa Łowu wzrosła i bestie zaczęły się wylewać z doliny w pościgu za umykającymi Khajiitami. Wtedy rozpoczął się prawdziwy obłęd.

Scotti, w świetle księżyca, doskonale widział ze swojego punktu obserwacyjnego, do czego Khajiitowie przyczepili liny. Lawina głazów zwaliła się na przesmyk będący wyjściem z doliny. Gdy opadł kurz, dostrzegł, że kotlina została odcięta od świata. Dziki Łów mógł się zwrócić wyłącznie przeciw samemu sobie.

Scotti odwrócił wzrok, niezdolny dłużej patrzeć na orgię kanibalizmu. Rozpościerała się przed nim mroczna dżungla, pajęcza sieć drzew. Przerzucił przez ramię torbę Regiusa i ruszył naprzód.

Taniec w ogniu, tom 4

FormId	skyrim.esm:01AFC1
Owning plugin	skyrim.esm
Local FormId	01AFC1
Editor ID	Book0DanceInFireV4
Inventory image	(none)
Menu art	HighPolyBasicBook05
Value (gold)	4
Type	Book or tome
Weight	1
Can be taken	Yes
Teaches	(none)
Inventory description	(none)
Keywords	VendorItemBook
Locations	1378
Leveled lists	9
Scripts	0

© Bethesda Softworks LLC and the authors of the mods in the load order.
Exported and generated with SkyrimSourceExporter.